

WĘDROWIEC

Pismo Tygodniowe Ilustrowane.

No 8.

Warunki prenumeraty: w Warszawie rocznie rs. 7. — z przesyłką pocztową rs. 8.
Dodatek muzyczny (24 zeszyty nut) rs. 2.

Rok XXXVI.



Powieści Rzymskie

TEODORA JESKE-CHOIŃSKIEGO.

(„GASNĄCE SŁOŃCE” — „OSTATNI RZYMIANIE”).

Talent nie jest ani rzeczą martwą, ani sztucznym organizmem, który z postępem czasu tylko psuć się może. Przeciwnie, talent ulega wszelkim prawom organizmów żywych, to znaczy: rodzi się, rozwija, zakwita, owocuje, a potem wiednie i zanika.

Nie zawsze dla świata widoczna bywa droga, którą przechodzi talent, jako rzecz żywa i organiczna; nie zawsze też droga ta bieży równolegle z tą, którą odbywa organizm fizyczny człowieka. Czasem świat ogląda tylko kwitnienie talentu, czasem tylko jego owocowanie, a bywa i tak, że talent, zaledwie pierwsze liście wypuściwszy i światu okazawszy, pod działaniem wrogich okoliczności kureczy się i zamiera.

Najczęściej młodość talentu przemija z młodością życia, a jego dojrzałość z latami dojrzałości — zdarza się wszakże i inaczej. Kraszewski około 60-go roku życia napisał swe „Powieści saskie”, odznaczające się wielką świeżością i wnoszące zupełnie nowy pierwiastek do jego twórczości autorskiej. Wiktor Hugo w tymże wieku wydał *najmłodsze* ze swych dzieł lirycznych: „Piosenki uliczne i leśne.” Dodajmy, że ten poeta w latach młodzieńczych napisał „Ostatni dzień skazanego na śmierć”, rzecz prawie zgrzybiałą.

Autor „Gasnącego słońca” i „Ostatnich Rzymian” nie jest ani młodzieńcem ani starcem; znajduje się on w tej epoce życia, w której prawdziwy talent wydaje zwykle dzieła najdojrzalsze. I w istocie, ostatnie jego dzieła noszą przedewszystkiem znamiona dojrzałości. Ale obok owoców, i współrzędnie z nimi, blyszczą tam kwiaty — co zresztą nie należy w przyrodzie do osobliwości. Co dziwniejsza, dzieła te są kwieciście, barwniejsze i wonniejsze od dawniejszych, a więc chronologicznie młodszych, utworów tego pisarza.

W dwóch powieściach rzymskich, opatrzonych datą dwóch lat ostatnich, Choiński okazał się większym artystą, niż w którejkolwiek ze swych licznych prac, w których pierwiastek publicystyczny, rozprawianie *ex cathedra*, lub cięta szermierka w obronie takich lub innych ideałów społecznych przeważały nad plastyką i obrazowością.

I w tych powieściach jest teoretycznego wykładu zawiele — obrazy jednak pełne życia, ruchu i koloru następują tak często i tak silnie umysł rozgrzewają, że nie ma on czasu zastępnąć pod nużącym wpływem przeciągniętych nad miarę lekcji kronikarskich.

Powieści rzymskie otwierają nowy okres w działalności pisarskiej Choińskiego. Rozwinęły się w nich i spotęgowały dawne właściwości jego talentu; wystąpiły też i takie, których istnienia nie przeczuwało się nawet. Pozwala to dobrze wróżyć o innych z tegoż samego cyklu utworach, do których autor przystąpić zamierza, a może nawet już przystąpił.

Wartość obu powieści podnosi i utrwała okoliczność, że oparte są na gruntownych studiach historycznych, społecznych i obyczajowych. Studya takie jednak niezem są same przez się, jeśli ich technienie talentu twórczego nie ożywi. Wedle wyrażenia Goethego, jest to stos suchych drzew, który dopiero ogień z nieba zapalić i stosem ofiarnym uczynić może. Chwilami te drwa — jak już wyżej nadmienilem — tlą się u Choińskiego leniwie, jakby wilgotne, zawsze jednak w końcu płomień talentu bierze górę nad opornym materiałem i zwycięzko wystrzela ku niebu.

Od nagromadzenia faktów i dat ważniejsze jest dla artysty odgadnięcie i utrwalenie tego, co się nazywa „kolorytem miejscowym” (*couleur locale*). Tylko przy pomocy tego środka, właściwie użytego, osiąga się złudzenie prawdy, bez którego dzieło sztuki jest rzeczą jałową i martwą.

Istnieje pewien przeciętny koloryt klasyczny — rzymski lub grecki do wyboru — który przyrządza się wedle gotowych przepisów i prawie zawsze się udaje. Od stopnia talentu zależy mniejsza lub większa świetność kolorytu, zawsze jednak główna jego zasada pozostaje niewzruszona. Tego rodzaju kolorytem posługiwali się u nas, z niejednakowem szczęściem, Kraszewski, Odyniec, Sienkiewicz i inni.

Zasada kolorytu, o którym mowa, polega na tem, że artysta pokazuje nam świat klasyczny z oddalenia i że staje wraz z czytelnikiem zewnątrz niego.

Stanowisko Kraszewskiego w „Irydionie”, choć również podmiotowe, odróżnia się tem, że poeta patrzy na Rzym z niezmiernej, filozoficznej wysokości. Orle jego oko rozdziera kształty zewnętrzne, dostaje się do duszy i na wierzech ją dobywa. Postacie „Irydiona” są jak mechanizmy zegarowe, dzwonem szklanym nakryte; ruch składających je kółek odbywa się przed oczami patrzącego.

Zupełnie odrębne stanowisko zajął inny wielki poeta, ani za życia, ani dotąd nie poznany: Cyprian Norwid. W swym znakomitym, starorzymskim poemacie p. t. „*Quidam*” — poemacie bardziej obcym naszemu, nawet literackiemu, ogółowi, niż „Szach-Nam” lub „Sakuntala” — nie pokazuje on Rzymu przez szkła francuskiego dowcipu, niemieckiej filozofii lub polskiej pobożności.

Dla odmalowania Romy Cezarów, staje się on rzymianinem z epoki cezaryzmu. O rzeczach i sprawach rzymskich mówi tak, jakby mówił współczesny im mieszkaniem Rzymu.

Norwid jest niewątpliwie najdoskonalszym u nas odtwórcą rzymskości, a jego „*Quidam*” — najplastyczniejszym i najprawdziwszym wskrzeszeniem tego zamarłego rozdziału dziejów.

Choiński zbliża się bardziej do pierwszego, niż do drugiego z wymienionych systemów. Nie patrzy on na rzeczy rzymskie oczami rzymianina. I w jego malowidle znać przestrzeń dwóch tysięcy lat, dzielącą go od ludzi, których maluje. Ale czyni to po swojemu i z bardzo dobrym artystycznym skutkiem.

Braku plastyki ludziom jego zarzucić nie można. Zewnętrznie są oni zupełnie takimi, jakimi byli w epoce Marka Aureliusza i Teodozjusza. W czynach ich nie można również dopatrzeć anachronizmów. I tylko miara etyczna, do ludzi tych przykładana, nie jest rzymską.

Autorowi nie czynimy z tego zarzutu. Owszem, z uznaniem stwierdzamy, że potrafił uniknąć tendencyjnej jednostronności i że prawie nigdzie, zamiast wizerunków starych rzymian, nie dał ich karykatur.

W „Gasnącem Słońcu” Choiński dobiera się odrazu do jądra rzeczy. W pierwszym zaraz rozdziale, energicznymi rysami kreśli dom patrycjusza rzymskiego z epoki upadku. Jeszcze starorzymska *virtus* ożywia i uszlachetnia duszę gospo-

darza domu, ale już na otoczeniu jego widoczne są ślady śmierci moralnej i rozkładu.

Publiusz Kwintyliusz Warus kocha jeszcze bogów swych, szanuje prastare zwyczaje i wspomina z żalem — spóźnionym niestety — dzielność oraz prostotę ojców i dziadów. Jego krewniak, Marek, jest już natomiast zupełnym „dekadentem.” Jest to niepoń, utracysz i szalawiła, któremu nie przyświecają żadne moralne ani obywatelskie ideały. Roztrwoniony ojczyście, ratować się pragnie zaciąganiem pożyczek u brata oraz bogatym ożenkiem.

— Kto lubi życie wygodne i przyjemne — mówi z cyniczną otwartością do Publiusza — ten nie zapomina o środkach, dających blask i niezależność. Żenię się...

— Z kim? — powtórzył Publiusz.

— Z trzystu milionami sesterców.

— Nazwisko?

— Barylzo piękne, historyczne. Żenię się z Liwią, córką Fabiusza.

— Fabiowie wygaśli dawno.

— Starzy. Ale są młodzi, pełni świeżości i nadziei, co kąpią się w morzu złota, kwitną i pożądamy wnuków...

Przedstawiciel tych ostatnich Fabiów jest świetnym typem zbogaconego łotra. Tacy zawsze i wszędzie mają wspólne rysy znamienne. Niektórzy starają się — w dobrej lub złej wierze — podnosić ich do ideału i zamaskowanych opryszków nazywają — „bohaterami samopomocy.”



Teodor Jeske-Choiński.

(Choiński, malując swego Fabia, uwypatnił takie właśnie stałe, niezmiennające się rysy. Wskutek tego, ojciec Liwii, choć w togę rzymską odziany, wydaje się postacią współczesną nam i jakby z naszego świata wyjętą. I małżeństwo jego córki z Markiem przypomina aż nadto wyraźnie te śluby młodych kapitalistów ze starymi herbami, na które tak często dziś patrzymy.

W „Gasnącym Słońcu” jest wyborna scena małżeńska pomiędzy Markiem a Liwią. Wygląda ona jak wyjęta ze współczesnej powieści obyczajowej.

Córka z bogatego „aferzysty” nie odznaczała się urodą. Prostu mówiąc, była szpetna. Mąż jej, wykwinny rozpustnik i dobry znawca piękności kobiecej, ledwie mógł utaić wstręt, jaki dla niej czuł. Po ślubie nie zmienił bynajmniej zwykłego trybu życia. Pił, hulał, grał w kości i całe noce spędzał poza domem, w towarzystwie kurtyzan.

Owego dnia, gdy, wróciwszy rano do domu, zabierał się do spóźnionego spoczynku, wpadła doń Liwia ze słowami:

— To musi się raz skończyć...

— Co takiego?

— Jestem twoją żoną...

— A ja twoim mężem...

— Wcale tego nie czuję.

— A ja, niestety, zbyt dotkliwie.

— Żądam praw swoich.

— Nosisz moje nazwisko, a na sukni szeroki pas purpurowy, o co ci głównie chodziło.

Spór zaostreza się i dochodzi aż do tego, że rozwścieczona

córka dorobkiewicza rzuca mężowi obelgę: „Winienesz mi posłuszeństwo... Należysz do mnie... Kupiłam cię.”

Scena kończy się po rzymsku (podobno z równą słuszością powiedzieć-by można: po sarmacku). Marek przypomina sobie — dziwnie, co prawda, nie w porę — że ma honor i że ten honor oplwano. W wybuchu wściekłości chwytą żonę za ramię.

„Ale w tej chwili — opowiada autor — błysnął w jej ręce sztylet. — Puszczaj! — wrzasnęła. Z szybkością zręcznego szermierza wyrwał Marek z dłoni żony broń i cisnął na posadzkę. — „Na kolana przed panem swoim!” — warknął. Ujął Liwię za kark i cisnął ją na posadzkę.”

Wygląda to, jak karta z „Komedii ludzkiej” Balzaka, albo z któregośkolwiek z realistycznych obrazów Zoli lub Maupassanta.

Roją się w tej powieści wstrętne postacie kobiet bezdusznych, żyjących samemi tylko zmysłami lub samą tylko niską ambicją. Choiński, jeśli nie wyczerpał przedmiotu i nie przedstawił wszystkich odmian tego typu chorobliwego, uwypatnił jednak najważniejsze jego rodzaje. Na tem tle, nie tyle czarnem, co brudnem, rysuje się tem ponętniej czysta i jasna postać Mucyi, nawróconej poganki.

Ta ostatnia przedstawicielka rodu Korneliów należy do istot łaknących ideału, dla których wiara i religia są taką koniecznością, jak rosa dla kwiatów. Religia sztuczna, na czeczach formułkach oparta, lub też sprofanowana i przeżyta, wystarczyć im nie może. Gdy widzą zmagające źródło, z którego dusza ich pila, poczynają sobie jak ptak, to znaczy: rozwiniawszy skrzydła, lecą szukać innej, czystszej krynicy.

(D. nast.)

Wiktor Gomulicki.

Zbój Świętokrzyski.

(Z opowiadań przy kominku).

V.

(Dokończenie)

Rotmistrzowi okrzyk córki przywiódł wszystko na pamięć. Wszak do uszu obywatelnego starego dochodziło z sąsiedniego pokoju każde głośniejsze słowo i napelniało rozpacz, że bezsilny, pozbawiony nawet mowy, niczemu nie mógł przeszkodzić.

Szeptów Bogusławskiego nie słyszał, ale słowa strasznej przysięgi swej najukochańszej doni, przysięgi, wygłoszonej suchym, lecz doniosłym głosem, zapamiętał doskonale.

— Dziecko ty moje — wyrzekł z rozezuleniem. — Któż-bo jest obowiązany do spełniania takich przyrzeczeń, wymuszonych po zbrojce.

— Nie, mój ojeze, ja przysięgam dobrowolnie, mogłam przecież nie przysiąc, a wówczas...

— Później o tem pomówimy. Teraz szkoda czasu... każda minuta stracona zapewnia lotrom bezkarną ucieczkę — zawołał rotmistrz z żołnierską stanowczością. — Niech każdy we wsi, kto ma niezląską kufkę, szykuje się do drogi. Warwasiński, poślij mi zaraz z wiadomością o wszystkim do Psar. Zaśny pan Walenty przywieźcie nam kilkunastu uzbrojonych i na dobrych koniach, ludzi. Mnie także niech pożyczą gniadosza lub tego karego, com dla siebie pod wierzch targował. Przecież my zbrojom ująć tak łatwo nie pozwolimy — wydawał rozkazy Jeżewski.

— Do Psar już dawno posłano — rzekł ekonom, który, jak się tylko uwolnił z więzów, zaraz o tem pierwszy pomyślał.

— Zuch jesteś, mój Warwasińsiu — zawołał rotmistrz, klepiąc po ramieniu starego eks-wachmistrza.

— Ale, bo ja jestem winien, że nie obszedł podwórza — z płaczem nadmienił ekonom. — A stróżom każę dać takie baty, aby ruski miesiąc wstać nie mogli...

— Daj pokój, Warwasińsiu. Zawiniłszy wszyscy. Ja przecież najwięcej, więc nikt nie chce karać. Bogu podziękujmy, że się gorzej nie stało — wyszeptał rotmistrz, padając na kolana dla odmówienia krótkiej, lecz żarliwej modlitwy.

Kiedy około godziny 5-ej rano, prawie równocześnie z Psar i Sieradowic, dokąd także Warwasiński pełną posłańców z wiadomością o napadzie, stawiły się konne drużyny, rotmistrz miał już cały plan pościgu zbrojów jak najszczegółowiej ułożony.

— Wam powierzam dom i Michalinę — rzekł do wysiadających z sanek Kruszewskiego i księdza Palysiewicza, który istotnie we dworze psarskim nocował.

— Rotmistrzu, ja z tobą — zawołał pan Walenty.

— To niepodobna, za stary jesteś do takich wypraw — powiedział Jeżewski.

— Ba! a ty, sąsiedzie, przecież my równolatki, nawet pono ja o całe pół roku młodszy od ciebie — protestował gorąco Kruszewski.

— Aleś żołnierki, jako proceder, nigdy nie traktował. Z takim brzuchem nawetbyś godziny na koniu nie wytrzymał — zdecydował rotmistrz.

— No, chłopcy — rzekł do drużyny siedzącej już na koniach, różnie uzbrojonej — czas nam w drogę. Pojedziemy śladami zbrojów... Pan Bóg łaskaw, że zamieć ustala i ślady nie zupełnie zatarte. Jeżeli, jak przypuszczam, przy lesie w dolinie hulaństwo rozdzieliło się i my się także rozdzielimy. Wówczas Warwasiński poprowadzi drugi oddział...

Wyprawa, pośpiesznie organizowana, pośpiesznie też wyruszyła, a rotmistrz, jedną tylko myślą ogarnięty, słów na wiatr nie rzucił.

Nawet się z córką nie pożegnał. Z konia już wyrzekł do stojących na ganku:

— Ojeze duchowny i ty, przyjacielu, czuwajcie nad moim dzieckiem...

A tymczasem heroina nasza znów wpadła w dawne osłupienie, nie zdając sobie

sprawy z tego wszystkiego, co się około niej dzieje.

Gdy pani Modlińska opowiedziała proboszczowi i panu Kruszewskiemu wszystkie szczegóły napadu, a ci okrzykami zgromy przerywali jej słowa, Michalinka siedziała bez ruchu. Dopiero gdy pani Modlińska zaczęła mówić o przysiędze, przez dziewczę złożonej, odezwała się:

— Nie prawdą, księżę proboszczu, że ta przysięga wiąże mnie z Bogusławskim!.. Wszak ja muszę zostać jego żoną!

— Moje ty dziecko kochane, Pan Bóg przedewszystkiem zważa na intencję, a Kościół może z przysięgi rozgrzeszyć.

— Ale nie mnie, nie mnie... Intencja była, bo musiałam ratować życie ojca. Przecież ten człowiek dawał mi wolny wybór.

— Zobaczymy to później. Udamy się do księdza biskupa — rzekł uspokajająco proboszcz.

— Przysięgam na krucyfiks, że nieczyję inną, tylko Bogusławskiego żoną zostanę — wyszeptała panna Michalina, znów zapadając w ponurą zadumę.

— Dzieciństwo takie skrupuły, moja córeczko — wmieszał się pan Walenty. — Zresztą ten obwieś musi być schwytany i da gardło... Będę szelmą nie Kruszewskim, jeżeli na tego herszta nie przyjdzie teraz ostatnia godzina. A to niesłychane, arabskie awantury... Czego się takiemu szelmie zachciało?... Zostać mężem najpiękniejszej szlachcianki w całej okolicy. Będzie on miał nie żonę, ale szubienicę...

— Mógł mnie przecież porwać, ojca zamordować, miał siłę. A jednak tego nie uczynił. I ja mu przysięgam... przysięgam — znów wyszeptała Michalina.

Siły dziewczęcia były zupełnie wyczerpane. Zdecydowano, aby poszła do łóżka. Nie opierała się już, dając sobą pani Modlińskiej zupełnie powodować.

— Ale w tych warunkach kulig trzeba odwołać — wykrzyknął pan Kruszewski. —